

Hachszara

Gerda Cohen

Ileż *hachszar*¹ miał Ha-Szomer ha-Cair w Polsce! Największa ze wszystkich była w Słonimiu², jedna w Nowogródku, jedna w Stołpcach i jeszcze jedna w małej osadzie o nazwie Horodziej. Miriam – korespondencyjna przyjaciółka Hansa – była właśnie w Horodzieju, to znaczy na końcu świata... Cóż można było zrobić? Było to stosunkowo blisko od *hachszary* w Stołpcach. Hans miał wielką nadzieję, że o ile nie wyślą go do Horodzieja, trafi przynajmniej do Stołpc. Bardzo lubił swoją jasnowłosą przyjaciółkę, którą wszyscy w warszawskim *kenie* nazywali Białą Miriam, dla odróżnienia jej od innych Miriam, które były czarnowłose. Była to przyjaźń pozbawiona dotyków i pocałunków. Biała Miriam nie chciała, broń Boże, kontaktów cielesnych. Pociągala ją i robiła na niej ogromne wrażenie wiedza Hansa. A ta była rozleglejsza niż to, czego nauczył się w szkole. Był ciekaw świata i potykał każdą książkę, która wpadła mu w ręce. Kupował ze swojego niewielkiego kieszonkowego pocztówki z reprodukcjami portretów i prac słynnych postaci, spośród których Miriam słyszała nie tylko o Marksie i Engelsie - ci byli naturalnie gwiazdami w oczach członków Ha-Szomer ha-Cair. W kolekcji można było znaleźć także dzieła Leonardo da Vinci, Michała Anioła i Rafaela. Ponadto znał się zarówno na poezji niemieckiej, jak polskiej. I był mistrzem pisania listów.

Na razie siedział jeszcze w Poznaniu, pisał do Miriam swoje listy i nie miał pojęcia, że krążą one w dalekiej *hachszarze* z rąk do rąk. Wszyscy zazdrościli Białej Miriam wymiany korespondencji z tym mistrzem epistolografii, a dziewczyny podziwiałały go nawet nie znając.

W jego starym, dobrym sierocińcu zawsze przyjmowano go jak domownika i natychmiast włączano w porządek dnia. Tym razem zaopatrzone go także w ubrania na *hachszarę* – ostatecznie wuj był lojalny wobec domu i nie było problemów z pieniędzmi. Ale zrobiono to nie tylko z powodu wuja. Zwykło się tam czynić tak wobec każdego absolwenta. Gdy któryś przyjeżdżał do Poznania – zawsze miał tu swój dom. Cieszono się z jego przybycia, znajdował tu ciepły posiłek i łóżko.

Hans mieszkał w sierocińcu tylko kilka tygodni – do momentu, gdy musiał rozpocząć nowe życie w *hachszarze*. Zaangażował się w tym czasie w kierowanie poznańskim *kenem*.

Ten, kto został wezwany na *hachszarę*, wychodził na nią, gdy został wyposażony we wszystko, co konieczne i... w serdeczne życzenia powodzenia.

Hansowi, gdy po długiej podróży przez całą Polskę dotarł do Słonimia, powiedziano:

– Na razie pojedziesz do Stołpc. Potrzebują tam sekretarza, który będzie prowadził korespondencję i wysyłał sprawozdania do centralnego kierownictwa.

Ucieszył się z tego. Stołpce leżały blisko jego jasnowłosej przyjaciółki przebywającej w Horodzieju, a poza tym – ze względu na cechy charakteru – było mu na rękę skierowanie do miejsca ustronnego i zacisznego.

Gwaru nie brakowało jednak nawet w Stołpcach. Miejsce było bogate w lasy, a okoliczni mieszkańcy potrzebowali drewna na opał. W lesie ścinali ogromne drzewa, a pnie zwozili do swoich obejść. Członkowie *hachszary* chodzili od zagrody do zagrody i rąbali je na opał. Pracowali piłami i siekierami, układając stosy drewna już gotowego do użycia w piecu.

Największym wydarzeniem w Stołpcach był przyjazd ogromnego pociągu Kolei Transsyberyjskiej. Jej lokomotywa była obficie przyozdobiona czerwonymi flagami. Stołpce były miejscowością przygraniczną. Pociąg z Europy przyjeżdżał tu, zatrzymywał się i nie mógł jechać dalej. Rozstaw torów w Europie był węższy, w Rosji – dużo szerszy. Pasażerowie Kolei Transsyberyjskiej wysiadali tu, by przesiąść się do pociągu europejskiego, a w pociągu rosyjskim zbierali się pasażerowie z Europy. Członkowie *hachszary* w Stołpcach lubili chodzić na stację i oglądać to widowisko. Dawało to okazję do zobaczenia wielu egzotycznych ludzi – nawet Chińczyków i Japończyków. Słyszało się tu mieszaninę języków, ponieważ ludzie – mogąc podczas długiej podróży nieco rozprostować kości – rozmawiali głośno we wszystkich językach świata, a tu i ówdzie słychać było nawet strzępy rozmów w jidysz. Kiedyś Hans, zaszedłszy tam, uśmiechnął się do siebie. Przypomniało mu się nagle, że już w pierwszych latach życia przyjazd pociągu był dla niego poruszającym wydarzeniem. W tej przygranicznej miejscowości te kolejowe wspomnienia wróciły. Poszedł na stację raz czy dwa, by zobaczyć tę wędrówkę ludów, potem tego zaprzestał. W zaoszczędzonym czasie wolał przygotowywać korespondencję, do której sporządzenia był zobowiązany i wysyłał raporty do głównego kierownictwa *hachszary* oraz w każdym innym niezbędnym kierunku.

Jedzenie w Stołpcach było nędzne i składało się najczęściej z samych ziemniaków. *Chawerim*³ po ciężkiej pracy byli jednak głodni i każdy talerz z ziemniakami wydawał się im przysmakiem. O Hansie mówili, że jadł je tak długo, aż brzuch podchodził mu pod blat stołu. Dopiero to było znakiem, że jest syty. Dziewczyny nie lubiły specjalnie pracy w kuchni. Buntowały się. Wyzwolenie kobiet, ich zdaniem, powinno charakteryzować się zerwaniem z tradycyjnie przypisywanymi im zajęciami: gotowaniem i pracami kuchennymi. Niespodziewanie znalazł się tu chłopak jak się patrzy, imieniem Aaron, bardzo lubiący gotować! Szkoda, że nie miał czego gotować, bo wszystko zaczynało i kończyło się na ziemniakach: zupa, danie główne i deser. Mimo to starał się zaspokoić potrzeby swoich bardzo głodnych klientów. Szczególnie zimą, gdy doskwierał mróz, a ciężka praca dobrze wpływała na apetyty, każde danie, które wymyślił Aaron, było przyjmowane z entuzjazmem. Dopiero gdy przyszło lato i wynalazł dla nich napój orzeźwiający, który mieli zabierać ze sobą do pracy – krzywili się i woleli wodę. Napój nazwali „Aarongina”, ale pić go nie chcieli. Nigdy nie dowiedzieli się, z czego był przygotowywany. Być może także on był wyciągiem z ziemniaków z odrobiną octu i cukru? A może była tam także cytryna? Skądże! Jakim cudem w biednej wiosce miałyby pojawić się cytryny? Aaron nigdy nie zdradził im swojego sekretnego przepisu, ale czuł się zraniony ich wybrzydzeniem. Nawet gdy otrzymał liczne komplementy za wspaniały czulent⁴, który ugotował po tym, jak od żydowskiego rzeźnika o miłosiernym sercu dostał kilka kości na szabat – pozostało w nim trochę gniewu.

Hansowi nie udało się spróbować tego legendarnego czulentu. Nigdy nie spędzał szabat w Stołpcach. W każdą sobotę wczesnym rankiem wyruszał w drogę do *hachszary* w Horodzieju, odległej o około dwadzieście kilometrów, by odwiedzić swoją Białą Miriam. Dziewczyna czekała na niego na skraju wioski. Wędrowali razem po drózkach pobliskiego lasu, rozmawiali o wyższych sprawach tego świata i... ani jednym słowem o miłości. Ale jeśli chłopak w każdy szabat idzie wiele kilometrów, by spotkać się ze swoją przyjaciółką, jego serce musi być w to mocno zaangażowane.

Złe języki w Horodzieju mówiły, że jednym z powodów wytrwałości Hansa także był czulent, tyle że ten, który jedzono w owej *hachszarze*. Rzeczywiście, był on tak dobry i treściwy, że można by nim uwieść nawet najświętszego. W ogóle w Horodzieju jedzono lepiej niż w Stołpcach i nie było to winą kucharza Aarona.

Łącznie było w tym punkcie hachszarowym dziewięcioro *chawerim* – trzech chłopaków i sześć dziewcząt. Zajęcia były tam zupełnie odmienne od tych w Stołpcach. Kilka dziewcząt pracowało na stacji kolejowej i pakowało do skrzynek produkty rolne – przede wszystkim ogórki – które dalej były wysyłane do Warszawy. Pozostałe pracowały w fabryce zajmującej się suszeniem warzyw i owoców. Była to mała firma, suszono w niej przede wszystkim plastry cebuli i jabłek. Dziewczyny przygotowywały plastry, wcześniej wycinając z jabłek komory nasienne. Chłopcy wkładali towar na wielkie palety, by spryskać go siarką. Z kąpieli siarczanej przenosili palety do pieca osuszającego. Piec był olbrzymi, wysoki na około dziesięć metrów i palety mieściły się w nim na trzech poziomach. Po suszeniu następowało pakowanie. Pracy starczało dla wszystkich poza jednym chłopakiem, który pracował jako pomocnik rzeźnika. Pracodawca zwykł obdarowywać go tłuszczem i kośćmi, a na szabat nawet odrobiną mięsa.

Cóż zatem dziwnego, że w Horodzieju jedzono lepiej niż w głodujących Stołpcach?

Chłopcy z Horodzieja trochę drwili sobie z Hansa, że znalazł sobie dziewczynę właśnie tam i sugerowali, że być może smak tej miłości ma związek ze smakiem ich czulentu. Ale Hans udowodnił im, że nie w tym była rzecz... Pewnego dnia mieszkańcy Horodzieja – gdy wrócili w szabat z lasu, by jak zwykle towarzyszyć Hansowi w części drogi powrotnej do Stołpc – odkryli, że Biała Miriam zniknęła z ich *hachszary*. Hans zdołał ją przekonać, aby przeniosła się do niego.

A w Stołpcach? Tam nadal czytali razem książki i trochę spacerowali po lesie. Wszystko do czasu, gdy obie *hachszary* – po tym, jak starsi wyemigrowali do *Erec* – i tak ostatecznie się połączyły. Wtedy Hans i Miriam zostali dobrymi przyjaciółmi. I nic więcej.

Także w Słonimiu *chawerim* pracowali przy drzewie, ale w tartaku. Bardzo trudno było tam dostać zajęcie. Właściciele tartaku nie chcieli zatrudniać żydowskich chłopców z dobrych domów do takiej niewolniczej pracy. Przekonanie ich, aby dali ją *chalucom*⁵ kosztowało wiele wysiłku. Właściciele tartaku byli Żydami, ale wygodniej było im pracować z gojami. Duży i silny goj potrafił dźwigać ciężary i pracować za niską zapłatę.

Dzieci żydowskie miałyby być robotnikami tartacznymi? Boże uchroni! Było to nie do przyjęcia dla właścicieli zakładu. Wszyscy oni stali się nagle niezwykle litościwi. Nie godzili się na tak ciężką pracę żydowskiego dziecka. Jego miejsce jest w *bejt midraszu*⁶ i *jesziwie*⁷, co najwyżej może zajmować się handlem.

Ale *chaluca* nie rezygnowali. Nie mogli zrezygnować, bo z czego mieli żyć? Jedzenia mieli mało, czasem żyli na granicy głodu.

Spali na piętrowych łózkach, a tu i ówdzie trzeba było dorobić do nich nawet trzecie „piętro”. W jednej sali chłopcy, w drugiej dziewczęta. Gdy trzeba było pracować na nocną zmianę – spali także na zmianę, w tym samym łóżku. Jeden wychodził z niego i szedł do pracy, a inny wchodził do ciepłego postania, żeby wsypać się po swojej zmianie.

Przychodzili do tartaku i tam, gdzie z jakiegoś powodu brakowało robotnika zastępowali go i udowodniali, że są bardzo dobrymi pracownikami. Życie w tartaku nie było łatwe. Pracowano tam w dzień i w nocy. Pnie drzew o długości od ośmiu do dziewięciu metrów przywożono z lasu, a następnie podwożono wagonami do piły. Maszyna cięła je na deski, które potem trzeba było przetransportować na podwórze. Tam były składowane na krzyż do czasu, aż wyschnęły. Pracowano razem z chłopami – silnymi i wysokimi gojami – którzy rywalizowali z *chawerim*. Zamiast przenosić dwie duże deski na raz, mówili do nich:

– Weźmy trzy.

I chichotali, bo byli pewni, że młodzi Żydzi tego nie wytrzymają. Ale wśród *chawerim* był Gedeon z *hachszary* w Horodzieju, który jeszcze z domu znał obsługę piły łańcuchowej. Gdy goi powiedział:

– Weźmy trzy deski.

Gedeon odpowiedział:

– Weźmy cztery.

Gedeon był wysoki i muskularny, więc mógł się zmierzyć z takim wyzwaniem. Ruszył lekkim krokiem z dużym ciężarem na ramionach, jak gdyby został zaproszony do tańca i... ujrawszy wieśniaków zawrócił. Kupcy zaczęli przychodzić na plac po deski, więc należało tam zanieść towar, pokazać go i odnieść ten, który został zdyskwalifikowany.

Dziewczyny zbierały kawałki drewna, które podczas cięcia drzew spadały na boki i przenosiły je na podwórze. Były bardzo zajęte przerzucaniem gór tych wiórów i biegały tam i z powrotem, aż do utraty tchu. Od czasu do czasu musiały także odgarniać trociny, które spadały z maszyny na ziemię. Wszyscy pracowali na zmiany. Gedeon zdobywał dla nich miejsca pracy: przechodził od piły do piły, pokazując swoją siłę i przekazywał swoją pracę kolegom, aż było jej dość dla wszystkich. W ten sposób tartak jednak zatrudniał *chalucim*, ale zapłata była niska, a warunki pracy bardzo ciężkie. Dziewczęta, które trudziły się nie mniej od chłopców, dostawały wynagrodzenie jeszcze niższe niż oni. Niektóre buntowniczkimi, posiadające wyższą świadomość socjalistyczną, żądały zrównania swojego wynagrodzenia z zarobkami chłopców.

– Dobrze, dobrze – mówili pracodawcy – także chłopcom damy waszą minimalną zapłatę i będziecie równe przed Bogiem i ludźmi.

I już więcej nie próbowały nauczać właścicieli tartaku socjalizmu.

W Słonimiu była różnorodna młodzież. Większość pochodziła z małych wiosek, byli też miejscowi, z samego Słonimia. Nie lubili warszawiaków, którzy się wywyższali i uważali – jak to się mówi w jidysz – za „besere menszen”⁸. Ale Hans także tutaj szybko zawarł przyjaźnie dzięki swojej gotowości do pomocy oraz robieniu wszystkiego, co było potrzebne, bez zbędnego targowania się z innymi. Ludzie, którzy byli z nim w *hachszarze* w Słonimiu, a potem wraz z nim kontynuowali ten sposób na życie – wyjechali z tą samą *aliję* i byli w tym samym kibucu – mówili o Hansie:

– Nie był prawdziwym warszawiakiem. Po pierwsze – pochodził z Poznania, a poza tym - pomimo dobrego hebrajskiego i świetnego polskiego – był *jeke*⁹.

W jidysz nie był tak dobry, a w Słonimiu dużo mówiło się w tym języku . Ale także tutaj uczył się hebrajskiego i prowadził kółka zainteresowań. Pomimo zmęczenia ciężką pracą mieszkańcom *hachszary* udawało się wieść w czasie wolnym intensywne życie towarzyskie.

Hans zaprzyjaźnił się prawie ze wszystkimi. Był tam Motel, który przeszedł z Nowogródka do Stołpc, a stamtąd ze wszystkimi do Słonimia. Był on synem kowala z Woronowa i przepięknym chłopakiem – wysokim, muskularnym i opalonym. Jedna z dziewcząt w *hachszarze* w Nowogródku weszła pewnego dnia do kuchni i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła go siedzącego przy stole. Wyglądał inaczej, niż wszyscy, których znała.

– Kim jest ten goj? I co tu robi?

Wyśmiali ją i powiedzieli:

– Ten goj nazywa się Motel i jest synem żydowskiego kowala z wioski Woronów. Jest z nami w *hachszarze*.

Motel, który przeszedł z Hansem ze Stołpc do Słonimia, uczył się w szkole „Tarbut”¹⁰ i mówił wyjątkowo czystym hebrajskim. Nidy nie powiedział „pójdziemy”, lecz mówił „skierujemy swe kroki”, a jako pracownik był szczególnie ceniony.

Był jeszcze inny, nazwiskiem Lejbuś Mirski, ceniony błazen ze Stołpc. Z bujną wyobraźnią, rozwiniętym, zwariowanym poczuciem humoru i bardzo dobrym sercem. Nie był członkiem *hachszary* w Stołpcach, ponieważ był miejscowy, a jego rodzice prowadzili tam sklep. Zwykł pomagać przyjaciołom z *hachszary* w zaopatrzeniu, wydostając z owego sklepu rozmaite towary. Zimą, gdy w *hachszarze* nie było drewna na opał, niszczył w nocy bez wahania płot któregoś z zagród należących do goja i przynosił swoim przyjaciołom drewno, po tym jak wprzód porąbał je jak należy. Gdy wszyscy jechali pociągiem, kupował bilet, ale gdy przychodził konduktor ukrywał się pod ławką, jak gdyby jechał na gapę. Konduktor wyciągał go stamtąd i przygotowywał się do wyrzucenia go z pociągu, a wtedy Lejbuś... wyciągał swój bilet i robił z siebie ciężko pokrzywdzonego. Cóż obchodził go honor szanownego konduktora, jeśli szanowny pan podróżny miał ochotę podczas podróży spać pod ławką? W *hachszarach* można było znaleźć wszystko: przyjaźnie i kłótnie, sympatie i antypatie, ale ponad wszystko było tam wielkie wyczerpanie fizyczne, wielki głód wiedzy oraz dużo, dużo miłości.

W międzyczasie nadszedł dla chłopców czas, by stawić się do wojska polskiego. Gdyby było to możliwe – wszystkich chłopców w wieku poborowym wysyłano by do *Erec*. Skoro było to niewykonalne – wszelkimi możliwymi sposobami próbowali oni uniknąć służby wojskowej. Na przykład cała drużyna młodzieńców, w tym Hans, postanowiła odbyć pieszą podróż do Wilna, żeby schudnąć przed „wstawką” do wojska. Mieli nadzieję, że w ten sposób zostaną odrzuceni. Szli kilka dni, cieszyli się pięknymi widokami, a noce spędzali w wioskach, z których pochodzili ich przyjaciele. Odwiedzali w ten sposób ich rodziny i przekazywali im pozdrowienia. Wszędzie serdecznie ich podejmowano. Sadzano ich przy stole zastawionym wszystkim, co najlepsze i jeszcze przygotowywano im prowiant na drogę. A jeśli w tej samej miejscowości było kilka zaprzyjaźnionych rodzin, a oni zatrzymali się tylko u jednej – pozostali przychodzili i skarżyli się, że także mają prawo ich ugościć.

– Co, u nich się gościecie, a u nas nie? Co sobie pomyśli nasz syn? Nasza córka będzie się na nas gniewać. Uchowaj Boże!

I znów sadzali ich za suto zastawionym stołem, nie zważając na ich plan schudnięcia. W tej podróży do Wilna tylko porządnie przytyli.

W Wilnie przeżyli ekscytującą przygodę kulturową. Nie na próżno miasto nazywano „litewską Jerozolimą”. Zwiedzili muzea i biblioteki, a potem wrócili pociągiem do Słonimia. Schudnąć oczywiście im się nie udało.

W Słonimiu tworzyli kibuc Masad – blisko stu chaluców i chalucek przygotowywało się tam razem do założenia nowego kibucu w *Erec Israel*. Mieli wielką nadzieję kontynuować zawiązaną tu wspólnotę także w Palestynie. Nie widzieli powodu, żeby nie miało się to ziścić.

Hans wkroczył w wiek poborowy, gdy był już na statku w drodze do *Erec*. On i jeszcze jeden *chawer* – nazywano go Szlomo Poszet – byli pierwszymi z kibucu Masad, którzy zostali wysłani do *Erec*, by przygotować miejsce dla nowej osady.

Ale na razie wrócił jeszcze na pół roku do Poznania – musiał zarobić pieniądze, żeby sfinansować swoją *aliję*. Znów był – po raz ostatni – w swoim sierocińcu i od razu znalazł pracę. Dawał lekcje hebrajskiego i pomagał uczniom, którzy mieli problem z przejściem do następnej klasy. Dużo jednak nie zarabiał, a zbliżał się termin *alii*. Wuj w Berlinie nadal żył, ale Hans w żadnym wypadku nie chciał zwrócić się do niego o pomoc. Czas naglił.

I oto Hansowi nadarzyła się okazja na objęcie niepośledniej posady. Katolicki arcybiskup Poznania potrzebował lekcji języka biblijnego i zwrócił się do gminy żydowskiej z pytaniem o wykwalifikowanego nauczyciela. Zapłata miała być hojna, więc Hans ogromnie ucieszył się z tej możliwości. I tak oto pewnego ranka kroczył ulicami dzielnicy, w której nigdy wcześniej nie był¹¹. Mieszkali tam tylko chrześcijanie i chodziło tam wielu antysemitcko nastawionych studentów. Na ulicach panował gwar. Wielu młodych, którzy nie mieli żadnego zajęcia, gromadziło się na zewnątrz. Byli trochę znudzeni i postać młodego, rudego Żyda z typowo żydowskim nosem i z paczką pełną książek pod pachą wydała im się łatwą zdobyczą. Zaczęli za nim iść. Wypowiadali drwiące i obraźliwe komentarze:

– Co ten Żyd robi w naszej dzielnicy? Dokąd zmierza? Do kogo?

Zaczęli drwić na temat zatruwania zdrowego powietrza w ich dzielnicy, a potem przyspieszać i wykonywać gesty, jak gdyby chcieli oczyścić miejsce i przepędzić najeźdźcę. Hans szedł przed siebie. Widział, że dom arcybiskupa jest już blisko i zmierzał prosto ku niemu nie odwracając głowy. W międzyczasie idących za Hansem przybyło i komentarze stały się bardziej sarkastyczne, a byli i tacy, którzy naprawdę solidnie przeklinali. Banda stawała się niebezpieczna.

Nagle otworzyły się drzwi domu arcybiskupa i szacowny mieszkaniec we własnej osobie wyszedł mu naprzeciw. Czereda natychmiast się rozstała. Co Żydowi do naszego arcybiskupa? Co mu do najszacowniejszego w mieście reprezentanta chrześcijaństwa? Arcybiskup rzucił im zimne spojrzenie i uściśnął dłoń Hansa:

– Witaj – powiedział i uśmiechnął się. Położył dłoń na ramieniu gościa i wprowadził go z wielkim szacunkiem do środka.

Banda została na zewnątrz, ale kilkoro z jej członków natychmiast zbliżyło się, by zapytać odźwiernego, co mają oznaczać odwiedziny tego młodego Żyda u ich najwyższego rangą duchownego. Zaskoczeni usłyszeli, że młodzieniec to nauczyciel, który przyszedł do arcybiskupa na lekcję języka biblijnego. Dziwy nad dziwami! Nie ruszyli się stamtąd aż do końca odwiedzin. Po zakończeniu tej pierwszej lekcji arcybiskup odprowadził Hansa do drzwi, uściśnął po przyjacielsku jego dłoń, głośno mu podziękował i pobłogosławił na drogę. Gromada z respektem rozstała się przed nauczycielami odtąd, gdy dwa razy w tygodniu Hans szedł do domu arcybiskupa – szli za nim i mamrotali:

– Patrzcie, idzie nauczyciel naszego arcybiskupa.

A przy tym pozdrawiali go i okazywali mu szacunek.

Lekcje z jego eminencją arcybiskupem były ekscytujące. Był to człowiek bardzo wykształcony, o niezwykle lotnym umyśle. Uczył się z zapałem i lubił rozmawiać z Hansem o wszystkim, co go interesowało. Uczył się od niego, na czym polega istota syjonizmu, o młodych poetach izraelskich i o zasiedlaniu pustyni. Uczył się szybko i wkrótce lekcje toczyły się już po hebrajsku. Także zapłata za lekcje była szczodra, co pomogło Hansowi zebrać sumę brakującą mu do sfinansowania *alii*.

Kontakty z wujem w Berlinie skończyły się listem, w którym Hans poinformował go o terminie swojej *alia la-Erec*. Po pół roku czekania w sierocińcu poznał termin swojego wyjazdu i otrzymał certyfikat¹². W tym czasie Anglicy ograniczyli liczbę zezwoleń. Nieżonaty mężczyzna nie mógł tak po prostu emigrować nie zabierając ze sobą dziewczyny. Para małżeńska mogła natomiast wjechać z na podstawie jednego certyfikatu.

Hans musiał się więc najpierw ożenić. Znalaziono mu narzeczoną. Nie była z Poznania i Hans nawet jej nie znał. Narzeczonemu z *kenu* w Poznaniu podano jej imię i dokumenty na nazwisko Rut Weiner z wioski Naliboki. Potem poszli do rabina, który był wtajemniczony w sprawę i

pobrali się wobec świadków. Teraz Hans mógł spokojnie wyemigrować do *Erec Israel*. Jego tajemnicza żona miała pojechać w ślad za nim. Tak to załatwiano w tym czasie. Obowiązkiem każdego *chaluca* było przywieść jeszcze kogoś na tę samą licencję, nawet jeśli nie znał tej osoby. Zrobił tak też w swojej wiosce Szlomo Poszet – ożenił się z niejaką Gronią Golbicką.

Dziewczyny przyjechały jakiś czas po nich i pary bez skonsumowania związku małżeńskiego natychmiast się rozwiodyły. Szkoda, bo były to całkiem ładne dziewczyny.

Tak zakończył się europejski rozdział w życiu Hansa¹³. W Trieście stał w porcie i patrzył na błękitne morze oraz biały statek, który kotłował się na falach i którym miał popłynąć do *Erec Israel*. Rozpoczął się nowy rozdział jego życia.

Tłumaczenie z hebrajskiego i przypisy Renata Kuśnierczak

Tekst jest 2 rozdziałem książki Gerdy Cohen *Ojciec z kieszeniami*.

¹ Hachszara (hebr. הכשרה); dosł. szkolenie – rodzaj praktycznego przygotowania do pracy i życia w Palestynie, prowadzonego w wyznaczonych ośrodkach.

² Stonim, Stołpce, Horodziej – wszystkie te miejscowości, przed wojną leżące w granicach II Rzeczypospolitej, znajdują się obecnie na terenie Białorusi.

³ Chawerim (hebr. חברים); tu: towarzysze – członkowie organizacji Ha-Szomer ha-Cair, *hachszar*, a potem kibuców. Por przyp. 34.do rozdz. 1.

⁴ Czulent - nazwa popularnej potrawy, przeznaczonej na szabat, zwyczajowo spożywanej w dzień sobotni.

⁵ Chcaluce - (hebr. חלוצים) – pionierzy; żydowski emigranci do Palestyny. Wcielali w życie założenia syjonizmu poprzez rozwijające się od początku XX wieku osadnictwo żydowskie w Palestynie i zakładanie kibuców.

⁶ Bejt midrasz - (hebr. בית המדרש) - dom nauki [badania, poszukiwania]; zwany też przyszkółkiem – jedna z tradycyjnych instytucji żydowskich, najczęściej związana z miejscem sprawowania kultu.

⁷ Jesziwa - (hebr. ישיבה) - dosł. posiedzenie, przebywanie, siedzenie – uczelnia talmudyczna przeznaczona dla absolwentów chederów lub szkół, zwanych talmud-torami, w której pobierali naukę nieżonaci chłopcy w wieku od kilkunastu (ok. 13–14) do dwudziestu kilku lat.

⁸ Besere menszen (jid. בעסערע מענטשען) – lepsi ludzie.

⁹ Jeke (jid. יקי, hebr. יקה) – określenie Żydów pochodzących z terenu Niemiec; tu szerzej: wychowany w kręgu kultury niemieckiej.

¹⁰ Tarbut (hebr. תרבות), kultura; właściwie: Żydowskie Stowarzyszenie Oświatowo-Kulturalne „Tarbut” – organizacja kulturalno-oświatowa działająca pod auspicjami Organizacji Syjonistycznej; prowadziło liczne szkoły.

¹¹ Chodzi o Ostrów Tumski w Poznaniu z katedrą, pałacem arcybiskupim, seminarium duchownym i mieszkaniami księży.

¹² Pozwolenie na legalną emigrację do Palestyny wprowadzone przez brytyjskie władze mandatowe po raz pierwszy w 1920 jako część przepisów imigracyjnych (Immigration Ordinance). Hans Kann wyemigrował do Palestyny w 1936 roku.

¹³ W rzeczywistości Hans wróci jeszcze do Europy pod koniec II wojny światowej.